

— Jeśli ci to może sprawić przyjemność — przerwałem — to powiem, że gdybyś mnie wtedy zabił, nigdy w życiu nie miałbyś całej kłamry, leżącej obecnie na kufrze.

— Tem lepiej — odpowiedział. — Cieszę się mocno, że nie zabiłem was wówczas, bo tym sposobem matka twoja miała przyjemność ujrzeć raz jeszcze swego małżonka, wprowadzić nieżywego, lecz i taki widok zaliczany bywa niekiedy do miłych; mnie zaś będzie bardzo przyjemnie zabić cię dopiero dzisiaj. Rozkosz, jaką daje zemsta, wzrasta wraz z oczekiwaniem... Lecz wracam do dalszego ciągu mego opowiadania. Na czas pewien zmuszony byłem opuścić kraj rodzinny...

— Z powodu nowej zbrodni, odkrytej przez twoją żonę...

— W jaki sposób dowiedziałeś się o tem?... Och, nie wątpię, że przez Klarę... Po powrocie, zastałem cię już w Londynie... no! i wkrótce po przybyciu, napadłem pod domem gry. Lecz i tym razem nieszczęśliwa moja gwiazda nie pozwoliła mi spełnić zbyt pociągającego zamiaru. Twój przekłety przyjaciel poczęstował mnie tak silnym uderzeniem, że padłem zemdłony. Mam jeszcze dotąd ślad jego pięści na twarzy...

— A ty spojrzysz na kłamrę. Zobaczysz na niej ślad swego ciosu.

— Więc to ona?... — rzekł, przyglądając się kłamrze z uśmiechem. — Nie wątpię, że chwilowo wydać ci się musiała bardzo cenną i pożyteczną. Bądź co bądź była nią ponieważ i dla mnie, bo chociaż, ze względu na noc i mgłę, pomyliłem się raz jeszcze, lecz tym sposobem załatwiłem rachunek z twoim przyjacielem. Nie raz wściekałem się, myśląc o błędach, jakie popełniłem, lecz obecnie martwię się nie mam powodu, bo cała historia, jak widzisz, ułożyła się dla mnie jak najpomyślniej. Powinienem był wprowadzić zabić twego ojca na Wirchu Adama, był to jednak mężczyzna zdrowy i silny, mógł się bronić, ja zaś nie miałem przy sobie broni palnej, nie chciałem zatem zaryzykować napaści, zakończyć się mogącej niepowodzeniem. Wszystko, mówi przyszłowie, przychodzi w czas dla tych, którzy czekać umieją. Ja umiałem czekać. Nie wymknął mi się twój ojciec... i ty także mi się nie wymkniesz. Gdy zaś pomyślę, jaką mi radość sprawia, że Klara i ty...

Nie chciałem go słuchać dłużej.

Jakkolwiek czułem się na wskroś przejęty wstydem i wstrętem, słuchając jego opowiadania o okrucieństwach, popełnionych przez mego dziada, rozumiałem przecież zbyt dobrze, że Szymon Colliver, chociaż osłaniając swoje pozory usprawiedliwionej podniekad zemsty, jest w rzeczy samej nędznym i podłym łotrem. Więc, gdy wspominał o Klarze, wybuchnąłem nagle.

— Dość tego, psie nikczemny! Wysłuchałem cierpliwie twoich bezczelnych przechwałek, lecz teraz zabraniam ci mówić o Klarze, która z twojej przyczyny dziś sobie odebrała życie. Pluję na ciebie i pogardzam tobą! Zamorduj mnie, a skarb którego pożądasz, niech ci przyniesie takie nieszczęście, jakie przyniósł mnie i moim. Przebij czempredziej swoim zbójckim nożem, bo z całych sił krzyczę będę...

Skokiem lamparcim rzucił się na mnie i uderzył pięścią między oczy. Poczem, gdy nie przestawałem krzyczeć i wyć niemal nieludzkim głosem, zadał mi srogi cios za uchem.

Przypominam sobie, że lampka, wisząca u belki, zamigotała krwawo-purpurowym blaskiem... Po chwili błyskawica wystrzału napelniła kajutę dymem, w pośród którego zaiskrzyły się na jeden moment tyśiączne światełka, z których już sobie nie zdawałem sprawy... Potem otoczyła mnie ciemność zupełna... Odczułem niejasne wrażenie, że mnie ktoś porwa i unosi... Następnie spadałem... i pogrążałem się... pogrążałem...

ROZDZIAŁ XII I OSTATNI.

W jaki sposób znalazłem właściwą zemstę i Wielki Rubin przytem.

— Mów, mów do mnie! Otwórz oczy i powiedz mi, że żyjesz!

Słowa te dolatywały uszu moich z pośród zamglonych i ciemnych dziedzin śmierci, jakby je ktoś wymawiał daleko... daleko... daleko...

Z tak wielkiej odległości zdawały się płynąć ku mnie, że mimowoli otworzyłem oczy, sądząc, że zobaczę świat inny, zaziemski. Rozwarłem... lecz natychmiast je zamknąłem, tak były zmęczone.

Ujrzałem naprzód tylko ciemne, szare niebo, lecz w taki sposób, jakby między wzrokiem moim, a niemal bezbarwną jego przestrzenią, zawieszona się nieśmiała przezroczysta zasłona.

Poczem otworzyłem oczy znowu i bezwiednie zwróciłem uwagę na cień jakiś.

Czem był ten cień? Czem sam byłem i co się dzieje ze mną, że tak bezmyślnie patrzę w niebo?

W jednej chwili utraciłem władzę rozwiązywania wszelkich zagadnień, pogrążając się na nowo w rozkoszny sen nieświadomości i zupełny brak czucia.

Wtedy głos, już raz słyszany, przemówił jakby do siebie cichym szeptem:

— Żyje jeszcze... Ach, gdyby chciał przemówić!



„Z trudem podniosłem rękę do czoła i sprawdziłem że mam chustką obwiązaną głowę.”

Tym razem, podniosłszy powieki, widziałem jaśniej.

Dwoje oczu patrzyło na mnie, dwoje oczu kobiczych.

Gdzie ja tę twarz widziałem?... Bez wątpienia w innym świecie.

Nagle, nie wiem w jaki sposób, umysł mój znudzony pojął, że to była pani Luttrell. A może Klara? Nie, Klara nie żyje. Zdawało mi się, że powtarzam w duszy: „Klara umarła”. Lecz gdzie i kiedy, przypomnieć sobie nie mogłem. Klara... umarła. Więc to musi być jej matka.

Ja, Kasper Trenoweth, leżę u stóp matki Klary, pochylającej się nademną.

Skąd wzięliśmy się tu oboje? Co się stało, że... Raz jeszcze cień zapomnienia padł na mój mózg i zasnął go mgłą nieprzeniknioną.

Uklękała i nie opuszczała mnie ani na moment. Rozcierała chłodne moje dłonie i co chwila zadawała pytania, pełne tklivego współczucia. Miała białe włosy... o jakie białe!

Gdzie leżałem? W łodzi... Strasznie zabolęła mnie głowa!

Wraz z bólem powróciła pamięć.

Rzecz dziwna, pamięć ocknęła się we mnie na

wspomnienie o śmierci Klary w teatrze. Poczem — wracając się i łamiąc ciągle — odwzorowała zarysy ohydnej twarzy Szymona Collivera, ukazując je niespodzianie oczom wyobraźni. I nagle, przypomniałem sobie wszystko.

Podniosłem się, wsparty na łokciu.

Tętna zaczęły mi walić w skronie jak młoty i palić je, jakby gorącym żelazem. Ogniste jakieś wstęgi opasywały mi ramiona, ręce pod dłońmi i nogi powyżej stóp. Paliły mnie tak okropnie, że z głuchym jękiem upadłem znowu na wznak i błagalny wzrok zwróciłem na panią Luttrell.

Chociaż śnieg padał, miała kapelusz w tył zrzucony, trzymający się tylko na tasiemkach, związanych pod brodą. Wiatr igrał z potarganymi, białymi jak puch łabędzi, włosami. Twarz jej była śmiertelnie błądą. Gdy się pochyliła nademną, aby mi podłożyć szal pod głowę, spostrzegłem, że jej niebieskie oczy stały się ciemniejszymi niż zwykle i pełnymi ognia.

— Dzięki Bogu! żyć będziesz... Czy bandaż ci nie dolega? Czy możesz się poruszać?

Z trudnością podniosłem rękę do czoła i sprawdziłem dotknięciem, że mam chustką obwiązaną głowę.

— Tak się bałam... O! tak okropnie się bałam, abym nie przybyła za późno. Chociaż Bóg wie, że w czas wsiadłam do twojej łodzi, przez niego nie spostrzeżona. Domyślałam się, co uczyniłam zamierza. Cały czas podsluchiwałam za ścianką, lecz lękałam się, by w uniesieniu nie zabił cię od razu i na miejscu, chociaż wiem, że zastanawia się i rozważa nad ukryciem śladów zbrodni...

— Więc pani słyszała?

— Wszystko! Och! gdybym była mężczyzną... Czy możesz powstać i utrzymać się na nogach? Czy czujesz się lepiej? Bo nie mamy czasu do stracenia!

Spojrzałem na nią zamglonymi oczami, nie zdając sobie sprawy z tego, co powiedziała.

— Czy pan dobrze widzi?... Jeśli możesz utrzymać się na nogach i chodzić, ażebyś mógł, proszę o to Boga, nie masz czasu do stracenia, powtarzam. Już świta... Musisz go przecie dogonić koniecznie jeszcze dziś wieczór...

— Dogonić?

— Tak, tak! Spieszył się bardzo... Wsiądź do pociągu, przebiegającego hrabstwo Kornwalii, więc wieczorem, najawszy konie, dojedzie przed północą do Skaty Umarłego... Żwawo! Żwawo!... Sprobuj pan, czy możesz się podnieść.

Usiadłem.

Woda, spływająca z mojej odzieży, utworzyła rodzaj kałuży w tej części łodzi, w której znajdowaliśmy się oboje. Ona, na nic nie bacząc, klęczała w niej. Obok leżał duży nóż i poprzecinane powrozy, którymi mnie kępował Szymon Colliver.

— Tak — rzekłem — chcę gościć za nim. O której godzinie odchodzi pierwszy pociąg z Paddington?

— O kwadrans na dziesiątą — odpowiedziała — a mamy teraz wpół do szóstej. Czasu wystarczy, lecz musisz przed odjazdem przebrać się i ucharakteryzować tak, aby cię w drodze nie poznał. On pojedzie tym pierwszym pociągiem niezawodnie. Niema wcześniejszego... Co zaś do pana, sądzę, że rana w głowie, za uchem, zadana nożem, chociaż bolesna, lecz powierzchowna, osłabiać cię zbyt nie może. Położyłam na niej chleb z pajęczyną i obandażowałam chustką. Co do strzału, mógł tylko pana ogłuszyć, bo przed ukazaniem się twojemu na pokładzie, jakby jakimś przecuciem wiedzioną, wyjęłam kulę z pistoletu, gdy mi go, jako świeży nabytek, podał do obejrzenia... Spieszył się, więc nie zdawał sobie sprawy, że chociaż jesteś zemdłony, żyjesz jednakże. Zresztą przekonany był prawdopodobnie, że rzucony przez niego do rzeki, jak kamień pójdzie na dno... No! jeśli czujesz się lepiej, ruszajmy stąd czempredziej! Dowiozę pana do brzegu.

(Dalszy ciąg nastąpi).